ROCZNIK XXXI. Październik 1909. Nr. 10.

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

Galicyjskiego Towarzystwa

OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Łyczakowska 22. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Mussila, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego.

Redaktor: Józef Białynia Chołodecki Lwów, ul. Sykstuska l. 62.

Redakcya otwarta w dnie powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic Tow. ochrony zwierząt.

Feliks z Pławnic Pławicki

Prezes G. T. O. Z. zmarł po długiej słabości we Lwowie dnia 9. b. m.

Urodzony w r. 1835 wstąpił ze szkół w szeregi wojska austryjackiego, które opuścił następnie jako emeryt w randze kapitana i poswięcił się pracy na roli. Był właścicielem części Szczawnicy i Czorsztyna, gdzie pełnił równocześnie obowiązki pocztmistrza i zkąd zasiadał w Sejmie jako poseł ziemi nowotarskiej.

W tej już epoce dał się poznać jako gorliwy opiekun zwierząt. Gdy śp. Maksymiljan Nowicki profesor krakowskiego uniwersytetu, poruszył myśl ochrony kozic i świstaków w Tatrach, tudzież łososi i pstrągów w Dunajcu, znalazł w śp. Pławickim gorliwego sojusznika. który przemawiał w Sejmie gorąco na korzyść wniosków i petycyj. W r. 1876 stanął śp. Pławicki obok znakomitego przyrodnika profesora uniwersytetu dra Eugenjusza Janoty do pracy w nowo założonem Towarzystwie ochrony zwierząt i dźwigał wspólnie z nim olbrzymi ciężar obowiązków, jakie przypadły w udziale młodej

instytucji. Gdy przedsiębiorczy Włoch przywiózł do Lwowa 1000 gołębi, by urządzić na torze wiścigowym sport a la Monaco, wkroczył śp. Pławicki jako wiceprezes G. T. O. Z. z całą energją a zabiegi jego skłoniły namiestnika Zaleskiego do wydania zakazu krwawej, a bezcelowej rozrywki.

Po śmierci prof. dra Janoty (17. października 1878) objął śp. Pławicki obowiązki prezesa, zaprowadził po śmierci długoletniego sekretarza Feliksa Lewandowskiego równowagę zachwianego budżetu i oddawał się z całym zapałem pracy, w myśl słów jednego z myślicieli:

Przez badanie przyrody — do poznania człowieka,
Przez ukochanie przyrody — do miłości człowieka.

Nawiedzony w r. 1908 ciężką niemocą, złożył wprawdzie ster spraw Towarzystwa w ręce zastępcy, ustawicznie jednak interesował się losami ulubionej przez niego instytucji, aż do ostatnich chwil życia.

Zdanie, iż ukochanie przyrody wiedzie nas do miłości ludzi, znalazło u ś. p. Pławickiego dobitny wyraz. Dwa dni przed skonem, gdy znękane strasznemi cierpieniami i operacją ciało pracowało ostatkami uderzeń serca, myśl jego płynęła ku złożonemu ciężką niemocą kuzynowi. Nagle otworzył ś. p. Pławicki powieki i słabnącym głosem polecił siedzącej przy łóżku dozorczyni uwiadomić żonę ego, że w tej chwili kuzyn zakończył życie, niech wyszlą w jego imieniu podupadłej rodzinie 100 koron na koszta pogrzebu. Rodzina ś. p. Pławickiego uważała zrazu twierdzenie jego o śmierci kuzyna za gorączkową wyobraźnię, jakież było atoli jej zdziwienie, gdy otrzymała niebawem autentyczną wiadomość, że kuzyn skończył rzeczywiście doczesną pielgrzymkę w chwili, którą przeczuł ś. p. Pławicki.

Pogrzeb ś. p. Pławickiego odbył się w poniedziałek 11. b. m. z honorami wojskowemi, przy licznym udziale publiczności.

G. T. O. Z., które zamianowało go było na ostatniem walnem zgromadzeniu prezesem honorowym, złożyło wieniec na jego trumnie, wysłało pismo kondolencyjne do pozostałej rodziny i wzięło przez liczną delegację udział w ostatniej przysłudze. Cześć pamięci zacnego obywatela! R. i. p.

Józef Białynia Chołodecki.

Tępienie naszej ojczystej przyrody.

Zajmujące uwagi ogłosił na powyższy temat w czasopiśmie „Kosmos“ znany naturalista Dr. Kurt Floericke: Nigdy przedtem — mówi on — nie gospodarował człowiek tak bezwzględnie, bezmyślnie i brutalnie w świecie zwierzęcym i roślinnym, jak w czasie ostatnich lat pięćdziesięciu. Jest to rzeczywiście dzika ironja losu, iż tępienie przyrody odbywa się właśnie w tak wychwalanej epoce nauk przyrodniczych. Nasamprzód poddano naturalnie dewastacji te rodzaje zwierząt, które z natury rzeczy, wskutek swego pożywienia, konkurują z nielitościwym i egoistycznym człowiekiem, a więc przedewszystkiem zwierzęta drapieżne i pożerające ryby. Gdzie się podziały te kolonje czapli i kormoranów, gdzie się podziały te niedźwiedzie, rysie i żbiki, gdzie się znajdują te orły i sępy, których lotem zachwycał się jeszcze przed kilku lat dziesiątkami turysta wśród wyniosłych gór i niebotycznych szczytów? Ukryły się one w większyzh głębinach leśnych, lecz i tam dąży za niemi bezwzględnie strzelec z swoją postępową bronią. Wypowiedziano wojnę najniewinniejszemu ptactwu, ozdobom naszych wód, jako współzawodnikom w wyławianiu ryb. Cóż więc dziwnego, iż pod wpływem tej niepohamowanej żądzy tępienia, pustoszeje coraz to bardziej przyroda, a cisza zalega pola i lasy.

Lecz przyroda nie pozwala tak igrać z sobą bezkarnie, ona broni się przeciw autokratycznym rządom człowieka, a już obecnie wyłaniają się fatalne skutki naszej jednostronności i zaślepienia. Bory nie dostarczają już tych przychodów, na jakie leśnicy liczyćby mogli, jednolita bowiem kultura, czyszczenie lasów u dołu otworzyły pole burzącej potędze wichrów, ułatwiły rozszerzanie się różnych chorób roślinnych i niezwykły wzrost szkodliwych owadów. Niszczenie niskopiennych drzew wywołało w wielu okolicach klimatyczne kataklizmy a zwłaszcza powodzie, które nietamowane niczem hulają po dalekiej okolicy. Również ubytek ptaków śpiewających pozwolił rozwielmożnieniu się robactwa, toż nie dziw, iż coraz to głośniej rozbrzmiewa teraz znów echo: „napowrót do przyrody!“ A miłość przyrody tak ściśle jest związaną z miłością

ojczyzny. Tylko ci ludzie czują prawdziwe przywiązanie do rodzinnej ziemi, którzy mają zrozumienie, pojęcie o właściwościach ojczystej przyrody. To też ruch ochronny w tej mierze jest czynem nietylko ludzkim i szlachetnym, lecz i postępkiem patryotycznym, zasługującym na najgorętsze poparcie. Postępowe umysły odrzuciły już dawno jako niedostateczną samą zasadę pożytku. Winniśmy ochraniać tego lub owego ptaka, nie dla tej przyczyny, iż on niszczy szkodliwe owady, lecz winniśmy go ochraniać dla niego samego, gdyż jest w swym rodzaju pięknem stworzeniem, wieszczą niejako, myślą twórczej siły natury. Bez powabnych ruchów, bez barwnej gry kolorów upierzenia, bez uroczego śpiewu naszych ptaków, jakżeż pustą, martwą, smutną byłaby nasza ziemia. A czy nie jest to może za drobnostkowe stanowisko, nie widzieć w szybującym po pod niebiosa, wokół szczytów skalnych, potężnym orle, pysznego, pełnego poezji zjawiska, lecz myśleć o tem, iż ten król eteru połknął zajączka właśnie małego lub też kuropatwę?

Najnowszy ruch w kierunku ochrony przyrody, usiłuje wobec tego zatrzymać, ile możności wszystkie stworzenia, zwłaszcza zaś te, które przez nasze kulturalne, a raczej niekulturalne postępowanie są już bliskie wyginięcia, bez względu na to, czy one są użytecznemi, czy też szkodliwemi.

Podobnie jak z zwierzętami, ma się rzecz i z roślinami. Nie powinno braknąć nam w borach żadnego pełnego żywotnej siły drzewa, żadnego miłego kwiatuszka, gdyż wszystko to tworzy łączną, nierozerwalną całość. Winniśmy taką całość utrzymać choćby na małych tylko przestrzeniach i w niewielkiej ilości. Najnowszy kierunek starań przyjaciół przyrody dąży do tworzenia terytorjów ochronnych. Przyszłość jednak pokaże, czy takie terytorjum ochronne odpowiada ogólnym potrzebom, czy nie będą one jedynie ładnym obrazkiem natury.

Śladem Ameryki, gdzie istnieje ów słynny Yellowstone — park, śladem Afryki i Australji, dąży obecnie i Europa, i na tem polu usiłują wyprzedzić inne narody Niemcy, gdzie na czele ruchu stanęło — jak nas poucza autor — liczne grono poważnych osobistości.

Naszemu społeczeństwu, przeważnie stojącemu nisko pod względem etycznych, humanitarnych i ekonomicznych pojęć

o ochronie zwierząt, nie marzyć chyba obecnie o tego rodzaju postępowych urządzeniach.

Józef Białynia Chołodecki.

Muzyczne i inne produkcje zwierząt.

Po rozmaitych cyrkach, menażerjach, budach produkują przedsiębiorcy przeróżne nadzwyczajności w tresurze zwierząt, przypisując sobie wobec niezagłębiającej się w zakulisowe tajniki publiczności, zasługę w „cywilizowaniu“ świata zwierzęcego. Do szeregu tego rodzaju produkcyj należą także popisy muzyczne, jakie od czasu do czasu wabią liczne zastępy widzów i słuchaczy. Pies, wybijający na klawicymbale kilka tonów melodji, mors dmuchający w trąbę, który zginął w Bukareszcie r. 1901, słoń obracający korbę katarynki i walący równocześnie w bęben i inni w tym guście „koncertanci“ zyskali obecnie nowego towarzysza niedoli w „muzykalnym koniu“, jakim zachwycają się właśnie mieszkańcy Berlina. „Emir“, — takiem jest miano „mistrza“ — otrzymuje na nozdrza i pysk z rąk „impresarja“ worek, połączony z potężną trąbą, a rzeczą „artysty“ jest jedynie dmuchać w tę trąbę. Mając utrudnione, wobec szczelnego nałożenia worka, oddechanie, koncentruje biedne zwierzę powietrze w kierunku otworu trąby, a potężny zapas tego powietrza, wychodzący z płuc konia, wydobywa naturalnie silniejsze dźwięki, aniżeli byłby w stanie ich dostarczyć najwytrawniejszy nawet muzykant-człowiek. Dziękując zachwyconej publiczności za powódź oklasków, podnosi koń — „mistrz“ — górną wargę, a „impresarjo“, który go nauczył tego rodzaju objawu uprzejmości, wmawia w „publikę“, iż koń umie się śmiać.

Ujęty taką mądrością konia jakiś syn Albionu, założył się z „impresarjem“, ażali „Emir“ zdoła urządzić taką produkcję na czwartem piętrze jednego z berlińskich domów. Stawka wynosiła 5000 marek, a wygrał ją „impresarjo“. Koń nauczony w cyrku do chodzenia po pochyłościach podjum i schodów, wydrapał się na czwarte piętro w ciągu półtora minuty, podniósł w oknie wargę, a więc uśmiechnął się do zebranych widzów, a następnie w ciągu dziesięciu minut znalazł się z powrotem na swem dawnem stanowisku.

Produkcje „Emira“ na trąbie przypisuje publiczność zamiłowaniu zwierzęcia do muzyki. Że muzyka oddziaływuje na nerwy zwierząt, nie ulega wątpliwości. Wszakże (pomijamy znane opowieści o Orfeuszu) często spotykamy wyjące psy na odgłos katarynki, a trąbienie w pobliżu psa na silnym instrumencie doprowadza zwierzę formalnie do szału. Słyszałem pianistki, chwalące się, iż na odgłos dźwięków fortepianu, dobywających się na wsi z parterowych okien, zwykł jawić się ten lub ów pasący się w pobliżu faworyt-konik, wsadzać łeb przez okno, rżyć radośnie i przysłuchiwać się koncertowi. Nie miałem serca rozpraszać ułudy pianistki supozycją, że nie tyle muzyka wabi żrubaka do okna, ile raczej nadzieja otrzymania kilku kawałków cukru, jakiemi darzy go delikatna rączka w nagrodę, iż raczy cierpliwie słuchać do końca jej produkcji. Spotykałem się z uwagą, iż nawet pająki wychodzą na odgłos muzyki ze swych kryjówek. Wszystko to być może, lecz absolutnie wykluczoną jest rzeczą, iżby nawet najbardziej lubiące muzykę zwierzę wykonywało dobrowolnie, ochotnie, bez silnego fizycznego przymusu samo jakiekolwiek produkcje muzyczne. Jeżeli wykonuje jakie produkcje, to nie dla miłości muzyki, lecz chcąc się jedynie ochronić od fizycznych cierpień, jakie przypadłyby mu w udziale, gdyby nie zastosowało się do woli „impresarja“. Znaną rzeczą jest, iż ongi uczono niedźwiedzie tańczyć przy pomocy rozpalonej blachy i muzyki, to też ilekroć później usłyszał biedny „myś“ taką muzykę, podnosił na przemian łapy, czyli w przekonaniu widzów, tańczył z własnej ochoty i fantazji. Przy innej resurze zwierząt posługują się kłuciem i ranieniem tychże, znów przy innej biciem, morzeniem głodem etc., cóż więc dziwnego, iż taki np. słoń, mając promenować po słupkach, lub tańczyć na grubym walcu, z góry ryczy biedaczysko, odczuwając swoje cierpienie.

Z końcem minionego roku bawił w Wiesbadenie cyrk Sarasaniego, a pogromca zwierząt, Jancky Blumenfeld, wykonywał tresurę w obecności widzów. Podczas takiej tresury utknął na dromedarze, którego nie mógł żadną miarą nałożyć do „hiszpańskiego kroku“. Bezustanne bicie zwierzęcia po szyji i goleniach, oburzyło do najwyższego stopnia publiczność, a gniew jej wzmógł się jeszcze, gdy Blumenfeld zadecydował, iż bicie nic nie szkodzi, dromedar bowiem ma grubą skórę i razow nie czuje. Publiczność ostentacyjnie opuściła arenę i oddała sprawę

jako dręczenie zwierzęcia władzom sądowym. Stwierdzono u zwierzęcia rany na szyji, jeden ze swiadków zeznał, iż dromedara bito bez przerwy dzień cały, a sąd orzekł, iż tresura musi być połączona z biciem.

Słusznie. —

Lecz zapytujemy teraz, jaki pożytek przynoszą te tresury i tego rodzaju produkcje zwierząt? Czy może to uszlachetnia świat zwierzęcy, jest połączone z materjalną, moralną lub duchową korzyścią dla społeczeństwa? Czy nie jest to rzeczą zupełnie dla ludzi i zwierząt, dla nauki i postępu obojętną, czy mors lub koń, będą lub nie będą dąć w trąbę, czy dromedar wykona lub też nie hiszpański taniec? Czy nie mogliby, nie powinni pogromcy zwierząt używać swej umiejętności, sprytu i cierpliwości dla tresury zwierząt w innym kierunku, użytecznym dla ogółu, a korzystnym dla tych stworzeń? Oto są pytania, nad któremi powinno zastanowić się dążące do postępu społeczeństwo, ktore powinny rozważać przy wydawaniu przepisów i koncesji kompetentne sfery.

W sprawie pomostów

na placach budowy domów i w kopalniach wniosło G. T. O. Z. następujące pismo do Prezydjum Magistratu we Lwowie.

Od szeregu lat walczy Galicyjskie Towarzystwo ochrony zwierząt z obojętnością i niedbalstwem przedsiębiorców budowlanych i nieludzkiem postępowaniem woźniców, którzy przy wywozie ziemi i rumowiska z terenów budowlanych katują zaprzęgi i znęcają się formalnie nad przeciążonemi pracą końmi.

Zabiegi nasze i zażalenia nie odnoszą atoli skutku, wobec obojętności w tej mierze organów, powołanych do nadzorowania przedsiębiorstw budowlanych. Oburzenie publiczności na przedsiębiorców, woźniców i dozorujących funkcjonarjuszów miejskich wzrasta ustawicznie, a w ostatnich dniach dali pp. Radni miejscy publicznie wyraz swemu niezadowoleniu.

Ażeby położyć stanowczo kres nadużyciom, zwracamy się do Wysokiego Prezydjum z prośbą o zarządzenie, iżby przy wydawaniu koncesyj budowlanych i innych koncesyj dotyczących wywożenia ziemi, piasku, gliny, rumowiska, żwiru etc.

zobowiązywano brzmieniem tychże koncesyj przedsiębiorców do budowania od kopalni, aż do najbliższej murowanej szosy, odpowiednich dojazdów i pomostów bądźto kamiennych, bądź drewnianych — w każdym jednak razie nie wznoszonych jedynie dla upozorowania, iż się niby to przestrzega przepisu, (a w gruncie rzeczy przepis ignoruje) ale dla rzeczywistego, prawidłowego użytku. Żądanie nasze nie jest izolowanem — wszystkie bowiem większe miasta ościennych krajów, stosują tego rodzaju postanowienia, a nie brak ich i w miastach mniejszych. Na dowód słuszności naszego twierdzenia i jako wzór dla odnośnego ustępu koncesji budowlanej, lub innej, pozwalamy sobie przedłożyć wyciągi z postanowień policyjnych obowiązujących w Akwisgranie, Barmen, Kolonji, Crefeldzie, Mühlheimie i Siegen.

Zanosimy i dalszą prośbę do Wysokiego Prezydjum o zarządzenie, iżby organa powołane do nadzorowania przedsiębiorstw budowy, wykonywały rzeczywiście i z skutkiem w tej mierze swój obowiązek, inaczej bowiem wszelki warunek koncesji pozostanie tylko martwą literą na papierze.

Zast. sekr.: *M. Mazurkówna.* — Prezes: *A. Mussil.*

Posiedzenie

Wydziału G. T. O. Z. odbyło się 8. b. m. pod przewodnictwem prezesa Adolfa Mussila. Obecni: Irena Witkowska, Marja Mazurkówna, Aleksander Gottlieb, Aleksander Maresch, Albert z Buženina Mniszek, Józef Białynia Chołodecki, Mikołaj Rybowski i Aleksander Ściborski. Zagajając posiedzenie oświadczył przewodniczący, iż bieżący rok jest nader pomyślnym w rozwoju Towarzystwa, gdyż od dnia walnego zgromadzenia przybyło dotąd okrągło 100 członków, z tego 69 członków Towarzystwa łowieckiego, co zawdzięcza Towarzystwo inicjatywie i zabiegom Alberta z Buženina Mniszka.

W celu zwiększenia skromnych zasobów materjalnych niezbędnych do akcji Towarzystwa, zwrócił się wydział przy pomocy protektora J. E. Leona hr. Pinińskiego do Namiestnictwa i do Sejmu.

Z kolei — złożyła sprawę sekretarka Mazurkówna o krokach poczynionych u władz i urzędów, bądź to na skutek otrzymanych zażaleń, bądź na skutek skonstatowanych nadużyć.

W sprawie zorganizowania służby rakarskiej, umieściła sekretarka w swoim czasie odpowiedni artykuł w „Dzienniku polskim".

Wniesiono podanie do Rady szkolnej krajowej z prośbą o polecenie Miesięcznika dla bibljotek szkół ludowych i średnich.

Ponieważ krakowskie Towarzystwo opieki nad zwierzętami zamierza redagować własny organ, powstrzymano na tegoż żądanie wysyłkę pierwotnej ilości egzemplarzy „Miesięcznika" i nawiązano tylko ewentualną wymianę czasopism, przyczem zażądało krakowskie Towarzystwo przesyłanie dla tegoż członków po 10 (płatnych) egzemplarzy każdego numeru.

Albert z Bużenina Mniszek ponawiał usilnie swój dawniejszy wniosek o częstem ogłaszaniu w dziennikach komunikatów dotyczących spraw Towarzystwa.

Redaktor „Miesięcznika" J. B. Chołodecki zdał sprawę z wydawnictwa czasopisma, i podziękował obecnemu na posiedzeniu w charakterze gościa Stanisławowi Nowińskiemu, za udzielenie dla celów redakcji cennej pracy p. t. „Zwierzęta w podaniach, życiorysach i pamiętnikach".

Następnie skreślił dyrektor Chołodecki obraz niesłychanego znęcania się nad końmi w Borysławiu, gdzie grzązka gleba, nierówny teren i niebywałe gdzieindziej roztopy, formalnie bezdenne błota i kałuże uniemożebniają komunikację. Rozwydrzeni, nieuznający nad sobą pana, woźnice wyprawiają tam istne orgje w katowaniu koni, posługując się nie batem lub biczyskiem, ale wprost drągami, pod których biciem chrzęszczą formalnie kości biednych zwierząt. Ktokolwiek z inteligencji ujmie się za katowanem, stworzeniem jest narażonym na najgwałtowniejszą brutalność woźniców. W rezultacie uchwalono odnieść się do Starostwa w Drohobyczu z prośbą o interwencję żandarmerji, miejscowa bowiem policja niema tam należytej powagi.

Dłuższą dyskusję wywołała sprawa karmienia ptaszków w zimie, do której to akcji postanowiono wciągnąć i mło-

dzież szkolną. Ostatecznie uchwalono poruczyć zarząd nad karmą i nadzór nad zajętymi, tem strażnikami ogrodowymi, radcy Mareschowi, przy pomocy nadradcy Ściborskiego i redaktora Nowińskiego, niemniej pani Witkowskiej i wezwał członków Towarzystwa do wykonywania rownież przygodnej kontroli nad strażnikami ogrodów.

Dyrektor Gottlieb twierdzi, iż stan koni stajni pocztowej we Lwowie, który przedtem dawał powód do licznych zażaleń publiczności, poprawił się obecnie dzięki energicznej interwencji.

Na wniosek redaktora Mniszka, uchwalono odnieść się wobec nadchodzącej zimy do Dyrekcji policji w celu zorganizowania ścisłej kontroli nad przeładowanemi wozami z drzewam i węglem, przy których tak okrutnie zwykli się znęcać nad końmi woźnice.

Na zapytanie radcy Marescha, co do przymusu kagańcowego, udzielił wyjaśnienia dyrektor Gottlieb.

Marja Mazurkówna.

Dla głodnych ptasząt.

Pomni, jak cudnem uzupełnieniem piękna ziemi i jej przyrody są ptaki, pomni też, onych niezrównanych chwil pokoju i wytchnienia, jakie czasu różowej wiosny i złotego lata, zlewa na trudem powszedniości umęczone skronie nasze, zaranna lub wieczorna, wieczyście słodka i radości pełna pieśń ptasząt — pomni wreszcie na ciężkie dnie i miesiące, czekające z nadejściem zimy tych śpiewaków bożych, którzy nam ziemi ojczystej, naszym gajom, polom i mogiłom wierni, nie odlatują w obce kraje, a temsamem na śmierć z zimna i głodu są skazani — apelujemy, jak corocznie do serc ludzi dobrej woli i ideę naszą miłujących, by raczyli, co i ile kto może, pośladu, ziarn, lub groszy na ten cel parę nadsyłać już teraz na ręce członka Towarzystwa p. radcy Aleksandra Marescha, Lwów ul. Chorążczyzny 8, który z całą gotowością przyjął na się obowiązek gromadzenia i rozdzielania między dozorców ogrodów miejskich, karmy dla ptaków.

Tych zaś członków naszych, którzy mieszkają w pobliżu któregokolwiek z publicznych ogrodów, lub parków, uprzejmie prosimy, by zechcieli zająć się w przygodnych dniach i o dowolnej porze, kontrolą miejsc karmienia i badaniem czy, kiedy i o ile żywienie ptaków pobieraną od nas karmą następuje.

Gorąco o to wszystko prosimy w imieniu tych co „ni sieją — ni orzą“ — one dobroczyńcom zaś same z nadejściem wiosny, rozgłośnym i miłośnym śpiewem, za ofiarność i pamięć o nich w dniach niedoli — podziękują.

Stanisław Nowiński.

Zwierzęta

w podaniach, życiorysach i pamiętnikach.

(Ciąg dalszy).

Pan Mitchell, rodem Szkot, osiadły na przylądku Dobrej Nadzieji, napisał do pasterza z Ettoyku (tak się bowiem nazywał poeta angielski Famas Pogg) list pod datą 1. października 1826, z którego dzienniki angielskie ogłosiły następujące szczegóły:

Pan Mitchell żył sobie błogo, cicho i spokojnie z małżonką swoją, łagodną, dobrą Szkotką i synem Wiljamem, mającym dopiero 11 miesięcy, w małej osadzie w Vander-Creck, gdy jednego razu wśród nocy, gromada małp, które naturaliści mieszczą w rzędzie tak zwanych orangutanów, czyli ludzi drewianych, wpada do jego ogrodu. P. Michell zwoławszy ludzi na pomoc, rozpędził małpy, a nawet zabił przypadkiem młode małpiątko. Nazajutrz jeden z urangutanów ukryty w ogrodzie, porwał małego Wiljama i rzuciwszy się z nim razem w rzekę Kcys, przepłynął na drugą stronę, a chociaż z bliska ścigany, zdołał jednak uciec z dziecięciem do lasu. We trzy miesiące potem zdarzeniu, niewiedzieć gdzie podziała się małżonka p. Mitchell. Wszelkie poszukiwania były daremne. Mąż rozumiejąc, że została wykradziona przez jednego z mieszkańców tamtejszych, który przedtem chciał ku-

pić tę młodą kobietę, postanowił srodze zemścić się swej krzywdy.

Już nawet p. Kensie, dowódca siły zbrojnej, ku temu celowi stosowne otrzymał zlecenie. Lecz jeden z domowników wstrzymał wyprawę, donosząc p. Mitchell, iż spostrzegł gromadę orangutanów uchodzącą z jego żoną do lasu po tamtej stronie rzeki. Biedna kobieta, mówił służący, głowę miała spuszczoną: zapewne umarła ze strachu. Dwa lata upłynęły, a jednak p. Mitchell nie mógł powziąć żadnej wiadomości o losie swej żony i syna.

Na początku roku 1825 rozeszła sie wieść w osadzie, że dwie kobiety zbierając jagody na górze Nourowalt, spostrzegły orangutana, któremu białe dziecię towarzyszyło. Natychmiast posłano oddział żołnierzy w miejsca wskazane przez owe kobiety. Ledwie za tydzień mógł się ów oddział zbliżyć do celu wyprawy. Żołnierze dowiedzieli się od krajowców, że liczna gromada orangutanów osiadła w okolicy, i że coraz więcej się ich zgromadza. Oddział wezwawszy na pomoc mieszkańców tej okolicy, otoczył siedlisko orangutanów. Natychmiast małpy porwawszy kije, uszeregowały się w koło ścisłym rzędem; do środka zaś tego koła zaprowadziły białą kobietę i białe dziecię. Wejrzenie orangutanów było smutne. P. Mitchell wyszedł na wzniosły pagórek dla przekonania się, czyli jego żona rzeczywiście znajduje się między małpami. Kilkakrotnie wzywał ją po imieniu: pani Mitchell odpowiedziała. W tejże chwili orangutany rzuciwszy broń, rozbiegły się na stronę, tak iż p. Mitchell mógł się zbliżyć do swej małżonki bez żadnego niebezpieczeństwa. Pani Mitchell postąpiła kilka kroków naprzód prowadząc za rękę małego Wiljama. Chłopak nie poznawał już ojca, owszem widok białych ludzi zdawał się go zatrważać. Pani Mitchell oświadczyła mężowi swemu, iż te stworzenia najłagodniej się z nią obchodziły przez czas, w którym pośród nich zostawała, iż ją najstaranniej opatrywały we wszelką żywność, dostarczały owoców i t. p. Tejże samej pieczołowitości doznawał z ich strony mały Wiljam, który tak przywykł do towarzystwa młodych orangutanów, iż rzewnie płakał nie widząc ani jednego koło siebie.

* * *

Podróżnik angielski John Griffith w dziele swojem: „Cztery lata pobytu na wyspie Cejlon“ umieścił zajmujący opis zażyłości swojej z orangutanem, który podajemy, w skróceniu:

Poszedłszy na przechadzkę do lasu nad brzegiem morza spostrzegłem orangutana, który siedząc na gałęzi wpatrywał się we mnie. Spojrzenia jego były łagodne, a twarz nie odrażająca; rzuciłem mu kawałek chleba, zbiegł z drzewa, powąchał go, lecz nie jadł. Znając obyczaje tych zwierząt, wziąłem drugi kawałek chleba, zjadłem połowę, a porzuciłem mu resztę. Wziął ją i uciekając niezmiernie szybko zjadł, a potem i pierwszy spożył kawałek.

Następnego dnia znowu spotkałem toż samo zwierzę i przynęciłem je do siebie rzucając mu chleb i owoce. Odwdzięczając się, zerwał kilka orzechów kokosowych i rzucił je pod nogi moje.

Przyzwyczajony do widywania mię codzień, czatował na moje przyjście. Pewnego razu przybiegł zmęczony i ująwszy mię za rękę chciał zaprowadzić mię w głąb lasu. Przyznaję, że z początku wahałem się iść z nim. Obawiałem się natrafi na gromadę małp, przeciw którym nie mógłbym się obronić, lecz przezwyciężywszy tę obawę poszedłem za moim przewodnikiem. Na twarzy orangutana malowała się niecierpliwość, której przyczyny nie mogłem odgadnąć.

Uszliśmy kilkaset kroków pomiędzy krzakami gdy spostrzegłem z niemałem zdziwieniem chatkę, prawie już ukończoną. Przypomniałem sobie wówczas, co wielu sławnych podróżników i naturalistów poświadcza, iż małpy budują sobie takie chaty. Mój orangutan uradowany był ze swego dzieła. Klaskał w ręce i gwizdał na znak radości. Lecz wkrótce zasmucił się niezmiernie, widząc iż do tej chaty wejść nie mogę. Otwór zastosował do swego małego wzrostu, nie zaś do mojego; jego przezorność nie rozciągała się tak daleko. Uniesiony złością rozrzucił szałas a poprowadziwszy mię na miejsce gdzie był nagromadził gałęzie, włożył mi kilka pod rękę, sam wziął tyle, ile mógł udźwignąć i dał mi znak, abym poszedł za nim; usłuchałem i mniemany pan stworzenia stał się pomocnikiem małpy.

Wkrótce zrobił wejście do chatki większe i odpowiedniejsze mojemu wzrostowi. Dopomagałem mu w tej robocie.

Wewnątrz przy wejściu były dwa posłania z mchu, dosyć długie, a w kącie zapas kokosowych orzechów. Nie zdołam opisać jak się dziwił i zasmucił biedny orangutan, gdy zabawiwszy przez czas niejaki w jego chatce, zabrałem się do odejścia. W jego małej głowie uroiło się, iż musimy żyć razem jak przyjaciele. Dlatego to zbudował chatę, nazbierał owoców i po swojemu całe gospodarstwo urządził.

Nazajutrz przyszedłem wcześniej jak zazwyczaj i nie mało użyłem trudów, nim znalazłem naszą chatkę. Przyniosłem rozmaite sprzęty; widok ich niezmiernie ucieszył orangutana. Wkrótce nauczył się nakrywać stół, stawiać krzesła, kłaść talerze i jadać ze mną.

Z rana 28. grudnia 1816 poszedłem znowu do lasu. Wziąłem ze sobą ciasta i owoce, które mój przyjaciel najbardziej lubił i jakąś niespokojnością powodowany szedłem spiesznie. W tem usłyszałem hałas, przyspieszyłem kroku i ujrzałem ogromnego węża, który porwał i otoczył kłębami biednego orangutana. Potoki krwi płynęły z ciężkich jego ran. Strzeliłem do gada i trafiłem go; puścił orangutana i chciał rzucić się na mnie, lecz dobiłem go drugim wystrzałem.

Daremne czyniłem starania, aby uratować biedną małpę; ostatni raz spojrzała na mnie z wyrazem wdzięczności i przywiązania, którego nigdy nie zapomnę i wydała ostatnie tchnienie.

*
*   *

Pierwszy goryl żywo do Europy przywieziony i pielęgnowany w wiwarjum berlińskiem, był płci męskiej, liczył dwa lata i miał prawie trzy stopy wysokości. Ciało jego pokryte było włosem jedwabistym, szpakowatym, na głowie miał włosy rudawe. Jego dziarska krępa postać, ręce muskularne, gładka lśniąco czarna twarz z kształtnemi uszyma, wielkie, roztropne figlarne oczy, wszystko to czyniło go uderzająco podobnym do człowieka. Gdyby nie nos można było wziąść go za murzynka. Jeszcze bardziej sprawiał takie wrażenie swoją niezgrabnością. Z każdego ruchu podobniejszy był raczej do nieokrzesanego chłopaka, niż do małpy. Gdy siedząc jak bożek indyjski spoglądał po dziwiącej się gawiedzi, a potem zaczął kiwać głową i klaskać w ręce, zdobywał odrazu serca wszystkich. Lubił liczne towarzystwo, rozróżniał młodszych

od starszych, mężczyzn od kobiet. Dla dzieci dwu i trzyletnich był niezmiernie uprzejmy, całował je, pozwalał im robić z sobą co tylko chciały i nigdy sił swoich względem nich nie nadużywał. Dla starszych dzieci był mniej słodki. Lubił wprawdzie bawić się z niemi, biegać na wyścigi naokoło stołu i krzeseł, które często przewracał, a przytem swawolnie to jedno to drugie uderzył ręką, lecz także nieraz wśród zabawy łapał któreś z dzieci za nogę i próbował na nich swoich zębów. Prowadzony pod rękę przez panie okazywał się wielce wdzięcznym za ten zaszczyt, ściskał je, opierał się na ich ramieniu i lubił siadać na ich kolanach. W klatce wspólnej lubił bawić się z innemi małpami, ale obchodził się z niemi pogardliwie. Wyróżniał tylko szympansa, którego uważał za równego sobie, wybierał za towarzysza igraszek i pieścił go, acz czasem tak, że go to aż zabolało. Chwyciwszy szympansa, trzymając go silnie, przewracał się z nim po ziemi. Gdy zaś szympans się wymknął, goryl rzucał się na ziemię z wyciągniętemi rękami jak rozkapryszony dzieciak. Chód jego podobny był do chodu szympansa; stąpał na podeszwach podpierając się rękami, ale stawiał nogi od siebie i głowę trzymał prosto z pewną dystynkcją, jak gdyby czuł, że należy do wyższej sfery. Gdy był w dobrym humorze, który go zresztą rzadko opuszczał, wystawiał koniec czerwonego języka, co przy jego lśniąco czarnej twarzy, czyniło go jeszcze podobniejszym do chłopca murzyńskiego.

Podobieństwo jego do człowieka objawiało się także w sposobie jego życia. O godzinie 8 z rana podnosił się na posłaniu, siadał prosto, ziewał, skrobał się tu i owdzie po ciele i dopóki nie dostał mleka, które pijał ze szklanki, był zaspany, obojętny. Orzeźwiwszy się mlekiem, wychodził z pościeli, szukał oczyma jakiegoś przedmiotu do zabawy, wyglądał oknem, zaczynał gwarzyć i w braku odpowiedniejszego towarzystwa bawić się z dozorcą. Musiał on zawsze być przy nim, ani na chwilę nie pozwalał mu odejść. Gdy go nie widział wrzeszczał przeraźliwie. O godz. 9. rano myto goryla, co sprawiało mu przyjemność. Objawiał to chrząkaniem. Jadał na śniadanie parę kiełbasek wiedeńskich lub francuskich, albo też chleb z masłem i wędzonką hamburską lub serem berlińskim i t. p. i opijał najchętniej chłodną białą kawą. Krótkiemi, a grubemi palcami nie łatwo mu było utrzymać sporą szklankę,

więc żeby mu nie wypadła pomagał sobie nogą, co zabawny przedstawiało widok. Owoce lubił i jadał ich wiele, zwłaszcza czereśni, odrzucając starannie pestki. O godz. 1. żona dozorcy przynosiła mu obiad. Oczekiwał z utęsknieniem tej godziny. Gdy zadzwoniono biegł drzwi otworzyć i w tem nikomu nie pozwalał się wyprzedzić. Gdy ta kobieta weszła, oglądał potrawy i lubił kosztować te, które mu najbardziej smakowały. Ukarany za łakomstwo klapsem, czekał grzecznie, nie spuszczając oka z potraw, na rozpoczęcie się obiadu. Naprzód dostawał filiżankę buljonu, którą duszkiem do dna wychylał. Następował ryż lub jarzynę, jakoto ziemniaki, marchew, kalarepę gotowaną z mięsem. Żywicielka baczyła na to, żeby się zachowywał przyzwoicie przy jedzeniu; nauczył się więc używać łyżki. Ale jak tylko mniemał, że na niego nie patrzą, zanurzał usta w talerzu. Gdy ostatnie danie stanowił kawałek kury pieczonej, był najbardziej uradowany. Przy jedzeniu nie grymasił. Jadł to samo co jego dozorca i nie wiele mniej niż on. Po obiedzie lubił spoczynek. Przespawszy się godzinę lub półtorej bawił się z tem większą ochotą. Popołudniu dostawał owoce, wieczorem mleko lub herbatę i chleb z masłem. O 9. szedł spać. Sypiał na materacu pod kołdrą wełnianą. Dozorca siedział przy nim póki nie zasnął, na co nigdy nie trzeba było długo czekać. Najbardziej jednak lubił spać w łóżku z dozorcą, a wówczas obejmował go rękami i przytulał głowę do niego W nocy nie budził się prawie nigdy. (C. d. n.).

Kalendarzyk łowiecki. Październik: Wolno polować na wszelką zwierzynę łowną. Przez cały rok wykluczone są od polowania i sprzedaży: łanie i sarny (kozy) cielęta, spiczaki tudzież kury głuszców i cietrzewi.

Przystąpili do Towarzystwa: Wpp. Franciszkowa Patlewiczowa, Helena Wehrowa, Antonina Fronczakowa i Jan Jarzyna we Lwowie, Włodzimierz Sokołowski w Bohorodczanach, Klemens Wczelik w Honoratówce p. Kurzany i Adolf Piasecki w Starym Samborze.

Nakładem gal. Tow. ochr. zwierząt. — Druk. i lit. Pillera, Neumanna i Sp.